



JANUSZ BRZozowski

**LAMPKA
CIERPkiego
WINA**

Janusz Brzozowski

**Lampka
cierpkiego
wina**

© Copyright by
Janusz Brzozowski & e-bookowo
Korekta: Patrycja Żurek & redakcja
Grafika na okładce: shutterstock
Projekt okładki: e-bookowo

ISBN 978-83-7859-424-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2014

Rozdział 1

Cisza letniej, grudniowej nocy wolno zmierzała ku końcowi. Coraz częściej uliczny ruch zakłócał ciszę rozpoczynającego się nowego tygodnia. Na nieprzejezdną ulicę, na której stało zaledwie parę domów, wjechał samochód i zatrzymał się przy wąskiej pogrążonej w ciemności alejce. Ubrana na czarno postać odczekała chwilę i wysiadając z samochodu podążyła szybkim krokiem w głąb ciemnej alejki, prowadzącej na tył ogrodu Paula Lewisa. Przez gąszcz palm i wysokich krzewów prześwitywało z głównej ulicy światło latarni. Skradająca się postać poruszała się zwinnie i cicho. Podchodząc pod drzwi werandy, wsadziła w zamek klucz i delikatnie nacisnęła klamkę. Drzwi uchyliły się, nie stawiając oporu. Głośna muzyka z lat 60. docierała gdzieś z głębi domu. Nie spodziewała się, jak bardzo ułatwi jej wślizgnięcie się do środka. Robiąc parę szybkich, zwinnych kroków znalazła się pod gabinetem Paula Lewisa, kryjąc się za wysoką szafką. Zgodnie z instrukcją przemknęła korytarzem pod wejście z domu do garażu, wieszając w gablotce klucze. Wracając w miejsce, gdzie stała wysoka szafka, wyczekała moment głośniego, muzycznego akordu i zdecydowanie weszła do gabinetu, zamykając za sobą skrzypiące drzwi.

John Brown siedział w fotelu tyłem do wejścia, skupiony nad leżącymi przed nim papierami.

Ubrana na czarno postać bezszelestnie obeszła biur-

ko i, podnosząc do góry rewolwer, wymierzyła w głowę siedzącego mężczyzny.

– Żegnaj, panie Brown – powiedziała, naciskając spust. Odrzucona w tył głowa, zalana krwią, bezwładnie opadła na leżące papiery.

Chowając broń, doszła do otwartego na oścież okna.

Dlaczego nie zostałam uprzedzona, że te drzwi tak strasznie skrzypią?, pomyślała z wyrzutem. Bez zbyteńnego pośpiechu usiadła na parapecie okna i zwinnie wyskakując do ogrodu, schowała się w gąszczu palmowego gaju.

Letni, tasmański poranek był nadzwyczaj chłodny. Pomiędzy konarami wysokich eukaliptusów przebijały wątle promienie słońca, które z upływem czasu stawały się coraz silniejsze i bardziej jaskrawe.

Paul Lewis wjechał na parking golfowego klubu w Woodgate parę minut przed szóstą, zatrzymując samochód na stałym miejscu. Na przednim siedzeniu po lewej ręce leżał notes, w którym notował ważne dla siebie sprawy łącznie z datami domowych płatności.

Dzisiaj już piątek, 13 grudnia, zdziwił się, unosząc notes z siedzenia. Ciekawe, czy będę miał dzisiaj jeszcze na tyle czasu, by dotrzeć do wydawnictwa?, pomyślał, widząc w notesie adnotację. Wsiadając z forda zamknął drzwi samochodu i otworzył bagażnik. Pomimo porannego chłodu po krótkim, nocnym deszczu powietrze było wyjątkowo wilgotne, napływające znad oceanu. Pomimo zimnego poranka ubrany był w cienką, klubową koszulkę, której dwa kolory czerwony i żółty

dzieliła pod skosem niebieska przedziałka z napisem „Golf Club Woodgate”. Widząc stojący tuż koło ceglastej drogi samochód Johna Browna, zdziwił się.

Ranny z niego dziś ptaszek, pomyślał o dzisiejszym rywalu, którym miał być jego szwagier.

Wyciągnął z samochodu wózek golfowy, sprawdził, czy ma rękawiczki i ruszył różnym krokiem w kierunku pola golfowego. Ciągnąc za sobą wózek przypomniał sobie, jak dojeżdżając do klubu był wręcz pewny, że stawi się jako pierwszy na polu dzisiejszego pojedynku, który miał wyłonić mistrza sezonu. Przypomniał też sobie, jak wczorajszego wieczoru, siedząc w klubie w wąskim gronie przyjaciół, John zapewnił, że tym razem będzie gotowy do gry jeszcze przed wschodem słońca.

Chyba tym razem dotrzymał słowa, pomyślał, wchodząc na ceglastą dróżkę, prowadzącą do budynku klubu. Przechodząc koło samochodu Johna zdziwił się, widząc pokrytą wulkanicznym pyłem terenową toyotę.

Gdzie on był, że ma tak brudny samochód?, zdziwił się, znając go jako pedanta. Myśląc o samochodzie doszedł do klubowego budynku.

– Witam, witam panie Lewis, jak samopoczucie przed finałowym pojedynkiem? – przywitał go Steve Mayer, zajmujący się w klubie ogrodnictwem oraz drobnymi naprawami.

– Jestem, panie Steve, tak naładowany, że John nie jest mi straszny. Widział go pan gdzieś? – spytał.

– Chyba jeszcze nie przyjechał, nie widziałem go, choć jestem tu przeszło godzinę.

No to dzisiaj John naprawdę jest rannym ptaszkiem, pomyślał, idąc za budynek. Na ścieżce, którą zawsze wchodzili na pole golfowe, nie dostrzegł żadnych śla-

dów butów ani kół wózka, które świadczyłyby o obecności kogokolwiek na placu gry. Widząc startowe pole, od którego zaczynali grę, postanowił poczekać, aż zjawi się przeciwnik. Przedzierające się przez drzewa promienie słońca z każdą chwilą oświetlały coraz to większe pałacie trawy. Spojrzał na zegarek. Widząc, że jest pięć minut po szóstej, rozejrzał się. Donośny głos kukabury z pobliskiego drzewa rozległ się głośno i niespodziewanie, podrywając go z ławki. Żarty sobie ze mnie robi, pomyślał, sprawdzając ponownie godzinę.

– Jeszcze go nie ma? – zdziwił się Steve Mayer, ciągnąc gumowego węża i nawadniając kwiaty.

– To niepoważne co robi – nerwowym głosem powiedział Paul. – Jeszcze piętnaście minut i odda walkowerem dzisiejszą grę.

Zza budynku ukazali się Rob Jackson z Bilem Newtonem, którzy jako następni w kolejności po Paulu Lewisie i Johnie Brownie mieli rozgrywać grę.

– Nie gracie jeszcze? – zdziwił się Rob, widząc siedzącego na ławce Paula Lewisa.

– Nawet jeszcze nie zaczęliśmy. John wybrał się chyba na daleki spacer i zabłądził, biedny.

– Nie mógł wybrać się na spacer, skoro na parkingu nie ma samochodu – wtrącił się do rozmowy Bill.

– Przecież stoi. Byłem tym zdziwiony, że dzisiaj pierwszy był na parkingu, a to rzadko mu się zdarza.

– Rob, widziałeś na parkingu samochód Johna? – spytał Bill.

– Przyznam się, że nie rozglądałem się za bardzo. Myślę, że jeżeli by stał, to bym go zauważył.

– Poważnie mówicie? – Paul Lewis podniósł się z ławki, patrząc na przyjaciół zdziwionym wzrokiem.

– Musiało ci się przewidzieć, może stał jakiś inny samochód, ale nie Johna? – wtrącił Rob.

– Poczekajcie, zadzwonię i zaraz wszystko będziemy wiedzieć – Bob wyciągnął komórkę i skupił uwagę na wyszukaniu numeru.

– Dobry pomysł. Może zachorował i dlatego nie przyjechał? – dodał Rob.

– Zaraz będzie wszystko jasne – powiedział Bob, przykładając do ucha komórkę.

– Dałbym sobie głowę uciąć, że to był jego samochód – wycedził przez zęby Paul Lewis, siadając ponownie na ławce.

– Nie odpowiada – powiedział po chwili Bob.

– No to masz pan walkowera i jest pan wolny – wtrącił się do rozmowy Steve.

I dobrze, przynajmniej pozalątwiam dzisiaj sprawy, pomyślał Paul.

– Skoro wygrałeś turniej, gratulujemy mistrzostwa, ale to tak na sucho ci to nie przejdzie – Bill uśmiechając się, wyciągnął rękę z gratulacjami.

– Gratulować będziemy później, teraz chodź już, bo opóźnimy grę Krisowi i Derkowi.

– Masz rację, spotkamy się, Paul, wieczorem, tylko nie przyjeżdżaj dzisiaj samochodem. Z tego, co wiem, kobiety mają wolny dzień od rozgrywek. Jest duże prawdopodobieństwo, że wieczorem w klubie nie będzie Margaret – powiedział Bob, odchodząc.

Dobrze powiedzieć. Ciekawe, komu z tych leni chciałoby się przyjechać po mnie i odwieźć, pomyślał, patrząc na zegarek. Za dobrych czasów Margaret mnie wozila, kiedy chciałem wypić kilka drinków. A teraz? Widząc, że dochodzi 6.30 wstał i ruszył w kierunku

parkingu. Układając plan dnia, zaczął od śniadania i ulubionej kawy, zatrzymując myśli na późniejszej rozmowie z Margaret, z którą małżeństwem byli jedynie na papierze. Wkładając do samochodu wózek spojrzął w miejsce, gdzie po przyjeździe widział samochód Johna. Zapalił papierosa i oparł się o auto.

Nie, ja jeszcze do tego stopnia nie zwariowałem, bym miał halucynacje, stwierdził, decydując się podejść w to miejsce. Odbyta droga przyniosła nieoczekiwane odkrycia. Miejsce, do którego doszedł, miało nawierzchnię bitej drogi, na której nie zdążono jeszcze położyć asfaltu. Wyraźne ślady szerokich opon, odcisnięte w mokrej ziemi utwierdziły go w przekonaniu, że się nie mylił. Chyba tydzień temu wymieniał opony, pomyślał. Wyciągnął z kieszeni aparat fotograficzny, który zawsze zabierał z sobą, ilekroć wychodził z domu i zrobił kilka zdjęć z różnych pozycji i odległości. Wykonując ostatnie, spojrzął uważniej w ekran aparatu, momentalnie przenosząc wzrok na trawę, w której leżał długopis. Przecież to długopis Johna, stwierdził z całą pewnością, podnosząc go z trawy. Przyglądając się uważnie zwrócił uwagę na wygrawerowany napis: „Pamiętająca o Tobie, Maggi”. Udowodnię tym niedowiarkom, że jednak stał tu samochód Johna.

Grudniowe, palące słońce nie miało litości ani nad ludźmi, ani nad przyrodą. Pomimo częstego nawadniania, trawa wokół domu Anny i Piotra Balickich była koloru jasnożółtego. Nad nią pod rozłożystym, gęstym eukaliptusem zawieszono były dwa białe hamaki, a z radia

wydobywała się cicha, relaksująca muzyka. Piotr Balicki, widząc żonę leżącą bez ruchu w jednym z wiszących łóżek, zszedł z werandy, niosąc na tacy dwie oszronione szklanki i pełny dzbanek pomarańczowego soku.

– Napij się, to ci dobrze zrobi – odezwał się ściszym głosem, nie będąc pewnym, czy Anna nie przysnęła.

– Myślisz, że to ugasi pragnienie? W żołądku mam jedno, wielkie jezioro. Tylko patrzeć, jak zalęgną się żaby.

Piotr, kładąc się wygodnie na hamaku poczuł krótkotrwałą, upalną bryzę, która musnęła nagie ciało.

– Co robimy w nadchodzące Święta Bożego Narodzenia? – spytała nagle Anna.

– Nie wiem. Nie myślałem jeszcze nad tym. Chcesz się gdzieś wybrać?

Anna odwróciła głowę w stronę Piotra.

– Chciałabym jedynie odpocząć od tego gorąca. To już drugi tydzień jak temperatura kręci się w granicach czterdziestu kilku stopni. Nie jesteś jeszcze zmęczony tą pogodą?

– Powiem ci, że nie. Nie ukrywam, że chętnie spędziłbym święta w tej „Panderozie”, jak nazywasz naszą posiadłość. Byliśmy już pod rząd cztery lata poza domem w czasie Świąt Bożego Narodzenia i myślę, że chyba wystarczy tego włóczenia się po świecie.

– Gdyby nie ten upał, Piotrze, byłabym całkowicie po twojej stronie – upiła ze szklanki sok i wytarła chusteczką spoconą twarz.

– Myślałaś, gdzie chcesz pojechać? – spytał Piotr.

– Co powiedziałabyś na południową wyspę Nowej Zelandii? Z tego, co wiem, zawsze jest tam dużo chłodniej

niż tutaj.

– Wiesz, że to dobry pomysł, podaj mi komórkę.

– Co zamierzasz? – spytała Anna, unosząc głowę.

Piotr, wstając z hamaka, usłyszał charakterystyczny odgłos wjeżdżającego na posesję motoru listonosza.

– Znowu rachunki? – zdziwiła się Anna.

– Myślę, że tym razem to jakaś przesyłka polecona. – Piotr poczekał, aż podjedzie listonosz.

– Takim to dobrze, tylko wam pozazdrościć, panie Balicki. Myślę, że każdy ma dość tych upałów i modli się, by wreszcie się skończyły. Skoro na początku lata są takie temperatury, to strach pomyśleć co będzie dalej.

– Nic nie poradzimy, panie Davidzie. Jedyne, co nam pozostaje, to cierpliwie czekać aż zmieni się front, a to zmieni temperaturę. Napije się pan czegoś zimnego? – zaproponował Piotr.

– Z chęcią, ten przekłety, upalny wiatr potrafi tak wysuszyć gardło, że słowo ciężko wymówić.

Czekając, aż Piotr naleje mu do szklanki soku, wydobyl z torby dwa listy i położył na hamaku.

– Podpisze pani? – zwrócił się do leżącej bez ruchu Anny.

– Ja panu podpiszę. – Piotr wręczył mu szklankę z sokiem, i opierając jego książkę o kolano złożył podpis.

– To było cudowne – listonosz, nie zsiadając z motoru, postawił szklankę na ziemi. – Życzę państwu miłego dnia – powiedział, odjeżdżając.

– Przyszło coś ważnego? – spytała Anna, otwierając powieki.

– Nic ciekawego. Kwartalny wykaz stanu konta w National Banku, którego spodziewałem się od paru

dni. Natomiast do ciebie przysłała tajemnicza koperta aż z Tasmanii.

Podał jej list i leżące na gazecie okulary.

– Z Tasmanii? – zdziwiła się Anna. – Co się stało, że Maggi napisała. Jest chyba ostatnią osobą na świecie, która bez przymusu wzięłaby do ręki długopis – powiedziała, otwierając list.

Piotr upił ze szklanki niewielką ilość soku i kładąc się na hamaku spojrzął z ciekawością na żonę.

– Dostaliśmy, Piotrze, zaproszenie od Maggi Klombach na ślub oraz propozycję przyjazdu, kiedy tylko będziemy mieć ochotę.

– Kiedy ma odbyć się ten ślub? – spytał Piotr.

– W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia – oznajmiła Anna, podając mu zaproszenie.

– Czy to ktoś z rodziny Natalii? – spytał z ciekawości, słysząc nazwisko Klombach.

– To młodsza siostra Natalii, piękna dziewczyna, za którą niejeden chłopak tracił oczy.

– Miałem cię już dawno spytać, skąd ich znasz? Nie pamiętam byś poznała ich gdzieś w Australii.

– To, Piotrze, stare, dobre czasy. Nasi rodzice znali się jeszcze z czasów kiedy mieszkali blisko siebie na Ukrainie. Po wojnie zostali przesiedleni do Polski i dopiero po paru latach od chwili przyjazdu drogi ich rozdzieliły się. Rodzice Natalii i Maggi osiedlili się w małej wiosce blisko granicy niemieckiej w województwie zielonogórskim. Będąc już dużą dziewczynką sporadycznie jeździłam do nich na wakacje. Przyjaźniłam się z Natalią. Był to...

– Czym się zajmowali rodzice Natalii? – spytał z ciekawością.

– Z tego, co pamiętam, Piotrze, z dzieciennych lat oraz z tego, co słyszałam, kiedy rozmawiali między sobą rodzice, to od chwili osiedlenia w wiosce i otrzymania od państwa ziemi, Klombachowie kontynuowali to, czym zajmowali się na Ukrainie, a mianowicie uprawą winorośli. Co ciekawe, rodzina ta posiadała i na pewno w dalszym ciągu posiada starą, sekretną recepturę na wino, które ponoć jeszcze przed wojną zdobywało na całym świecie najcenniejsze wyróżnienia, nagrody i medale.

– Rozumiem – powiedział Piotr. – Jak Maggi i jej siostra znalazły się w Australii?

– Tam gdzie mieszkają i gdzie ma odbyć się ślub Maggi w Woodgate, na Tasmanii, mieszka ich wujek, brat ojca, który po wojnie nie wrócił do Polski, a z Anglii przyплыł do Australii, osiedlając się na Tasmanii. Z tego, co wiem, ciężką pracą i uporem dopiął swego i rozpoczął na wielką skalę uprawę winorośli. Rodzice Natalii i Maggi przyjechali na Tasmanię chyba w 1979 roku. Podczas ostatniej rozmowy telefonicznej, Maggi zwierzała się, że pomiędzy ojcem a wujkiem nie układa się najlepiej. Jeden z nich chce sprzedać posiadłość wraz z recepturą, o czym drugi nie chce słyszeć. Maggi jednak jest pewna, że wkrótce wszystko się zmieni, ponieważ na dniach miał z Ameryki przylecieć trzeci z braci, który na pewno ich pogodzi.

Dochodziła jedenasta. Piotr wstał i zmienił w zawieszonym na drzewie radiu stację, oczekując wiadomości sportowych. Odchodząc parę kroków od hamaków zapalił papierosa, myśląc o tym, co usłyszał od Anny.

Życie, jak widać, samo rozwiązuje ludzkie problemy. Kto wie, czy wyjazd na Tasmanię nie byłby lepszym roz-

wiązaniem dla Anny niż Nowa Zelandia.

Stwierdził, że koniecznie musi podszkolić się w temacie znajomości win, a szczególnie tych produkowanych przez rodzinę Klombachów.

Jasnoniebieski kolor najnowszeo, sportowego modelu porsche miał na liczniku zaledwie tysiąc dwieście sześćdziesiąt cztery kilometry, kiedy kobieta zatrzymała samochód w obszernym, podziemnym garażu domu. Zaciągając ręczny hamulec spojrzała w lusterko, widząc domykające się automatyczne drzwi garażu. Zapaliła papierosa i bardzo głęboko odetchnęła, dostrzegając na rękawie jasnoniebieskiego zakietu drobną plamę krwi. Wsadzając w usta papierosa natychmiast zdjęła zaplamioną marynarkę i przerzuciła ją na ramię. Tak będzie lepiej i bezpieczniej, pomyślała, stojąc koło samochodu. Trzymając w reku najnowszy i najmodniejszy fason zakietu, skierowała się w stronę windy, którą wjechała na piętro, gdzie mieściła się jej sypialnia. Przez niedbale zaciągnięte zasłony wdzierały się do pokoju jaskrawe promienie słońca, oświetlając stojącą na stoliku butelkę wina. To jest to czego potrzebuję, pomyślała, nalewając do kieliszka podwójną dawkę wina. Siadając w fotelu wzięła do reki komórkę i wybrała numer zleceniodawcy. Oczekując połączenia spojrzała na zegarek. Dochodziła ósma. Mocząc usta w kieliszku uzyskała połączenie.

Słucham? – usłyszała znany głos.

– Spełniłam dzisiaj twoje życzenie – powiedziała krótko. – Jak tylko czas pozwoli dostarczę wszystkie dokumenty, na których ci tak zależało.

– Cieszę się. Jak tylko potwierdzi się to, co mówisz, oraz jak otrzymam dokumenty, natychmiast wypłacę ci pozostałe pieniądze. Myślę, że nie miałaś z tym wszystkim większych kłopotów?

– Nigdy nie mam w pracy kłopotów – wyjaśniła oschle.

– Doskonale. Dziękuję za wszystko. Głucha cisza nastąpiła niespodziewanie. Mając na dnie kieliszka jeszcze trochę wina, wypłała jednym łykiem, położyła na stoliku komórkę i weszła do łazienki. Zdejmując ubranie i bieliznę, mimowolnie spojrzała w wiszące nad umywalką lustro, dostrzegając w nim zamazany obraz twarzy. Zapaliła światło i tym razem spojrzała uważniej. Nie miała najmniejszej wątpliwości, była to twarz przerażonego Johna Browna sekundę przed tym, jak pociągnęła za spust. Trzymając się mocno umywalki, raptownie potrząsnęła głową, chcąc pozbyć się nieprzyjemnego widoku, który ciągle miała przed oczami. Wykonane zlecenie było już historią. Ilekroć wracała do domu z powierzonego zadania, traktowała to jak koniec jakiegoś etapu w życiu, o którym bardzo szybko udawało się zapomnieć. Po raz pierwszy ukazała się jej twarz ofiary i po raz pierwszy nie mogła wymazać tego z pamięci. Spojrzała ponownie w lustro. W wyraźnym obrazie twarzy Johna Browna dostrzegła zdziwione, przestraszone oczy, w których tkwiło pytanie. Dlaczego chcesz mnie zabić? Odeszła od lustra i zapaliła papierosa. Spojrzała na przygotowane ubranie, w którym wcielała się w inną osobowość, w którym żyła przykładnym i spokojnym życiem. Trzymając w ustach papierosa weszła pod chłodny prysznic. Letnia woda, spadająca na ciało sprawiała, że z każdą upływającą chwilą czuła się bardziej odprężona. Fili-

żanka mocnej kawy, którą dopiła, zjeżdżając windą do garażu położyła definitywny kres zmęczeniu. Może być dzisiaj bardzo ciekawy dzień, pomyślała, siadając tym razem do nowego modelu BMW w kolorze szmaragdowym, którym jeździła od paru tygodni do pracy. Dojeżdżając w Woodgate do budynku „Forum” zatrzymała samochód koło małego, narożnego sklepiku i jak każdego dnia kupiła gazetę „Telegraf Post” i paczkę Marlboro. Zapalając w samochodzie spojrzała na przeciwną stronę ulicy, gdzie pod budynek sądu podjechał policyjny samochód. Błyskające flesze reporterów i ruch wokół policyjnego samochodu zwróciły uwagę. Przez ułamek sekundy widziała wysiadającego z samochodu Alexa Lewisa, prezesa spółki naftowej „Morfex”. Zapomnij raz na zawsze „Wielki Prezesie” o obrońcy, pomyślała, będąc w pełni zadowolona z wcześniej wykonanej pracy.

Czteropiętrowy budynek „Forum” mieścił się na rogu Read Str & Rae Rd w Woodgate, skupiając w sobie najważniejsze urzędy i banki w całym miasteczku. W słoneczny, poniedziałkowy poranek Maggi Klombach, jak każdego roboczego dnia, zatrzymała samochód parę minut przed ósmą trzydzieści przy wjeździe na podziemny parking biurowca. Okazując czytnikowi identyfikator wjechała na parking i zatrzymała podstawiałego forda na stałym, przydzielonym miejscu. Idąc wolno w kierunku wind, myślała o sukni ślubnej, której materiał dopiero wczoraj zawiozła do krawcowej. Ściągając w dół windę, pomyślała o Johnnie, przyszłym

mężu. Co takiego mogło sprawić, że po nocnym telefonie jego zachowanie tak bardzo się zmieniło? Wróciła jednak myślami do rzeczywistości, w której dominował rozpoczynający się za parę godzin proces, prezesa spółki naftowej Alexa Lewisa, którym od tygodni żył John. Doskonale zdawała sobie sprawę, że dalsza, prawnicza kariera Johna w dużej mierze zależeć będzie od wyniku tego procesu. Kancelaria adwokacka „John Brown i spółka” mieściła się na czwartym piętrze budynku z widokiem na odległe pasmo gór. Wchodząc do biura spojrzała zdziwiona na zegarek. A to niespodzianka, pomyślała, widząc, że jest w biurze pierwszą osobą. Jadąc do pracy była przekonana, że zastanie Johna, zagrożonego w dokumentach, które wczoraj położyła mu na biurku.

Wykonując codzienne, rutynowe czynności, doszła do biurka, schowała w nim torebkę i odsunęła szufladę, gdzie, oprócz biurowych rzeczy, trzymała zawsze klucze Johna. Brak charakterystycznego, jasnobrązowego breloczka zaczepionego na kółku z kluczami momentalnie rzucił się jej w oczy. Gdzie one są?, zdziwiła się. Musiał John zabrać je wczoraj, pomyślała tłumacząc sobie ich brak. Dla pewności przeglądnęła dokładnie szufladę będąc prawie pewną, że wychodząc wczoraj do domu widziała je tam. Trzeba poczekać na Johna, pomyślała. Uruchomiła komputery i włączyła wodę na poranną kawę.

Musiał porządnie przysnąć, że go jeszcze nie ma, pomyślała biorąc do ręki telefon. Mimoходом spojrzała na zegarek, dochodziła 8.45.

Komórka nie odpowiadała. Wybrała domowy numer telefonu, chwilę czekając na połączenie.

– Tak, słucham? – usłyszała głos gosposi.

– Dzień dobry pani, Maggi Klombach z tej strony. Mogę prosić Johna do aparatu?

– Nie ma go w domu, pani Maggi. Jak przyszedłam o piątej rano, to już go nie było.

– Nie zostawił żadnej wiadomości? – spytała zdziwiona tym, co usłyszała.

– Nic nie widziałam, ale dla pewności zobaczę czy na biurku w gabinecie czegoś nie zostawił.

Słyszając oddalające się kroki gosposi spojrzała na ą dłoń, którą kurczowo zacisnęła na kancie biurka.

– Jezus Maria! – słyszała z oddali lament gosposi. – Tu ktoś był!

– Co się stało? – krzyknęła do słuchawki, słysząc coraz wyraźniej rozpacz zbliżającej się do telefonu gosposi.

– Co się stało? – powtórzyła pytanie.

– Ktoś był w gabinecie pana Johna. Wszystko wywrócone do góry nogami. Nie wiem, co mam robić – usłyszała płacz.

– Proszę niczego nie ruszać i zadzwonić po policję. Jak tylko będę mogła, to zaraz przyjadę. Jeżeli by pani zobaczyła Johna, to niech natychmiast do mnie zadzwoni – poprosiła nerwowym głosem. Odkładając słuchawkę spojrzała na zegarek, widząc jak czas nieubłaganie ucieka. Czyżby to nienaturalne zachowanie ostatniej nocy mogło mieć coś wspólnego z tym, co stało się w domu? Chwilę rozważała taką możliwość.

Może jest u siostry, wpadło jej nagle do głowy. Nie namyślając się wybrała numer komórki Margaret.

– Dojeżdżam do budynku. Co się stało, że dzwonisz? – usłyszała w słuchawce głos Margaret.

Spis treści

Rozdział 1	4
Rozdział 2	35
Rozdział 3	61
Rozdział 4	85
Rozdział 5	149
Rozdział 6	184
Rozdział 7	234
Finiał	250